

Prenumerata wynosi w Galicyi i Austryi: Kwartalnie kor. 8·75 Półrocznie kor. 17·50. Rocznie kor. 35. — Do Niemiec: Kwartalnie 9 kor. 50 hal. Półrocznie 19 kor. — hal. Rocznie 38 kor. — hal. z przesyłką pocztową. — W Ameryce: Kwartalnie 10 kor. 50 hal. Półrocznie 21 kor. 10 hal. Rocznie 42 kor. 20 hal., z przesyłką poczt.

Zmiana adresu kosztuje 40 hal.

Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 40 hal. — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 56 halerzy

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA I ADMINISTRACYA: KRAKÓW XB
ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny)
Telefon Nr. 473.
[illegible]

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 31

Główny skład na Królestwo Polskie: **Władysław Biernacki w Warszawie, Hoża 15.**

Główny skład na Księstwo Poznańskie: **M. Niemierkiewicz Poznań, plac Wilhelmowski 3.**

Numer pojedynczy 70 halerzy.

Rok XV. | **Kraków, 20 kwietnia 1918.** | **Nr. 16.**

Rozstrzygające walki na Zachodzie.



Zniszczone stanowiska angielskie w odcinku Albert.

Treść numeru: Pogrzeb ś. p. Lucyana Rydla — Zgon uczonego. — Wojna na wschodzie — Zjazd młodzieży katolickiej. — Ucieczka z niewoli [illegible]

Rozstrzygające walki na Zachodzie.

Decydujące walki na froncie zachodnim weszły w nową fazę. Po krótkiej przerwie, która pozwalała przypuszczać, że ofenzywa niemiecka na pewien czas przynajmniej została powstrzymaną, nastąpiło niespodzianie nowe uderzenie w północnej części frontu zachodniego. W dniu 9 b. m. rozgorzała na nowo bitwa flandryjska na południe od Armentiéres. Armia jenerała Quasta rozpoczęła frontem szerokości 15 klm. akcyę na przestrzeni pomiędzy Armentiéres i Festubert, która to ostatnia miejscowość leży o dwa klm. na północ od kanału La Bassée, na południowy-zachód od miasta tego na zwiska i od wymienianej tylekrotnie osady Givenchy, a prawie w linii prostej na południe od Estaires.

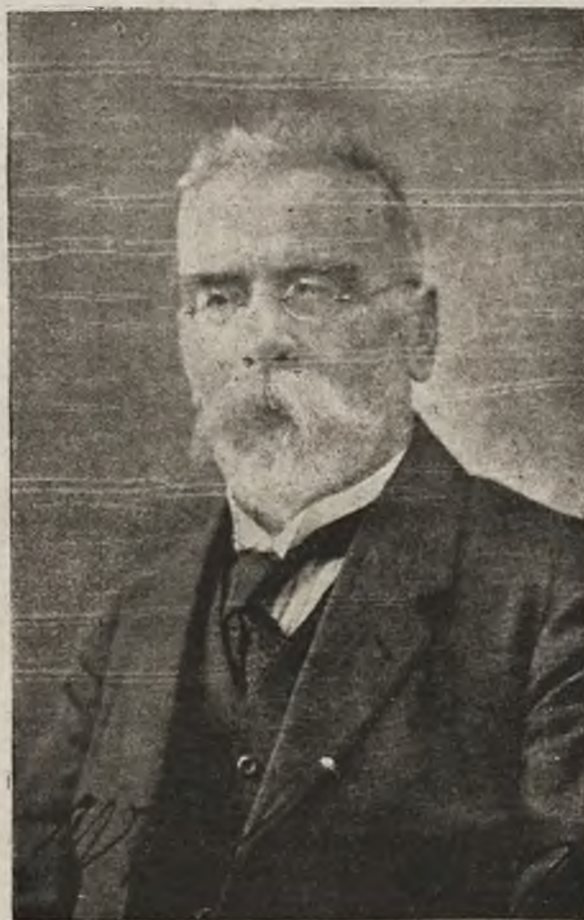
W tym odcinku mieli Niemcy naprzeciwko sobie dwie dywizye portugalskie i jedną angielską w rezerwie. Teren tworzy tu rozległe mokradło nadrzeczne, poprzecinane wielu żyłami wód, a w tej porze roku w znacznej części zalane.

Mimo tych przeszkód udało się Niemcom zawładnąć terenem i pierwszego zaraz dnia sforsować pod Bac St. Maur przejście przez Lys. Owa mała wioszczyna leży na pół drogi między Armentiéres a Estaires.

Następnego dnia wojska niemieckie przekroczyły w kilku innych jeszcze miejscach rzekę Lys. Północne skrzydło ataku sięgnęło aż do Hollebeke (przy drodze kolejowej z Ypres do Wervicq), a więc 12 klm. poza Armentiéres.

Następne dni przyniosły Niemcom nowe ważne sukcesy, a przedewszystkiem zajecie Armentiéres. Był to ważny punkt oparcia i wielka zbiornica frontu angielskiego. Atakując miasto wprost, Niemcy dla zajęcia go musieliby poświęcić wiele ofiar. Uniknęli ich, operując po bokach i osaczając upatrzony punkt tak, że nieprzyjaciel musiał zeń ustąpić.

Sukcesy niemieckie w północnym skrawku frontu zachodniego zyskują jeszcze więcej wagi, gdy się rozpatrzy ich znaczenie pośrednie, ich związek z ogólną sytuacyą całego frontu na zachodzie. Głównym celem operacyi pozostaje i nadal Amiens. Po wtłoczeniu frontu nieprzyjacielskiego na 60 klm. w głąb, stoją Niemcy w odległości niewielu tylko kilometrów od Amiens. W ten sposób sytuacya wojsk koalicyi staje się coraz bardziej krytyczną, to też Anglicy i Francuzi podejmują rozpaczliwe kontrataki, nie cofając się przed żadnemi ofiarami. Walka staje się z każdym dniem coraz zaciętszą i krwawszą, bo obie strony czują, iż zbliża się moment rozstrzygający.



Zgon uczonego: S. p. Wincenty Zakrzewki, profesor Wszechnicy Jagiellońskiej.

Zgon uczonego.

Do szeregu ciężkich strat, jakie poniósł Uniwersytet Jagielloński w ciągu obecnej wojny, przybywa nowa. Po dłuższej chorobie zmarł jeden z najwybitniejszych przedstawicieli polskiej wiedzy historycznej, profesor Wincenty Zakrzewski, autor wielu dzieł historycznych, członek Akademii umiejętności, emerytowany profesor historyi powszechnej na Wszechnicy Jagiellońskiej.

S. p. Wincenty Zakrzewski urodził się w Gostyńskiem w Królestwie Polskiem w r. 1844. Do gimnazyum uczęszczał w Płocku, na uniwersytet w Petersburgu i Wrocławiu, Heidelbergu, Jenie i Berlinie. W roku 1867 uzyskał stopień doktora filozofii w Lipsku, a w dwa lata później habilitował się na docenta historyi powszechnej we Lwowie. W r. 1872 został profesorem nadzwyczajnym tego przedmiotu w Krakowie, w r. 1879 zwyczajnym, a w r. 1884 czynnym członkiem Akademii umiejętności.

Dorobek naukowy ś. p. prof. Zakrzewskiego wykazuje długi poczet prac nieprzemijającej wartości, które biegły równolegle z pracami współczesnych mu uczonych historyków polskich, jak Szujski, Kętrzyński, Smolka i inni. Od Szajnochy przejął dar jasnego i zwięzłego opowiadania. Zaleta ta pozwala nawet niefachowym historykom czytać z zajęciem jego naukowe rozprawy. Ona też stała się podstawą najcelniejszego dzieła ś. p. Zakrzewskiego t. j. „Hi-



Pogrzeb ś. p. Lucyana Rydla: Kondukt pogrzebowy przed gmachem teatru miejskiego (Fot. Pierzchalski, Kraków)



Rozstrzygające walki na Zachodzie: Ruiny zbombardowanej cukrowni w Graincourt



Rozstrzygające walki na Zachodzie: Przemarsz wojsk niemieckich przez zniszczoną miejscowość Templeux. (Fot. Bufa)

storyi powszechnej dla użytku szkół średnich", jednego z najlepszych polskich podręczników historyi powszechnej, który powinien się znajdować w podręcznej bibliotece każdego wykształconego Polaka. Jego prace konstrukcyjne i wydawnictwa posiadają wartość naukową dzieł, opartych o poszukiwania źródłowe.

W roku 1908 Uniwersytet Jagielloński uczcił ś. p. Zakrzewskiego uroczystym obchodem 40 lecia jego pracy naukowej i nauczycielskiej. Grono uczniów zmarłego wydało wówczas na upamiętnienie tej rocznicy księgę pamiątkową p. t. „Studya historyczne wydane ku czci prof. Wincentego Zakrzewskiego", pod redakcyą prof. Stanisława Krzyżanowskiego. Początkowo miała ona objąć tylko epokę Batorego, jako tę, której jubilat poświęcił przeważną część znakomitych prac. Później zakres Księgi rozszerzono znacznie; zawiera ona szereg studyów z innych także epok. Na treść księgi, zawierającej 400 stron druku, złożyły się prace dawnych i obecnych uczniów prof. Zakrzewskiego, między któremi odznacza się obszerna praca dra Franciszka Fuchsa: „O ustroju dworu królewskiego za Batorego". Księgę zdobi portret profesora.

Ze szkoły Zakrzewskiego wyszedł cały szereg poważnych historyków, którzy w nauce zajęli poważne stanowisko. Poczet ich rozpoczyna profesor Bolesław Ulanowski, do młodszych należeli Stanisław Krzyżanowski, Wiktor Czermak, dalej profesorowie Stanisław Kutrzeba, Wacław Sobieski, dr. Witold Kamieniecki i inni. Przygotowanie długiego szeregu następców, którzy godnie i wysoko dźwignęli po swym przewodniku sztandar nauki, jest jedną z największych zasług Zmarłego, który na kartach polskiej historyografii wybitne zajmie miejsce.



Pogrzeb ś. p. Lucyana Rydla: Przeniesienie zwłok do kościoła Maryackiego. (Fot. Pierzchalski, Kraków)



Pogrzeb ś. p. Lucyana Rydla: Duchowieństwo z ks. biskupem Nowakiem przed kościołem Maryackim podczas eksportacyi. (Fot. Pierzchalski, Kraków)

Pogrzeb ś. p. Lucyana Rydla.

Z niezwykłą prostotą a serdecznie pożegnał Kraków ś. p. Lucyana Rydla, a pogrzeb Jego stał się wzruszającym objawem czci mieszkańców miasta dla zmarłego poety. Tłumy też pospieszyły w dniu pogrzebu do Bronowic, gdzie rano rozpoczął się smutny obrzęd pogrzebowy.

O godz. 9 rano w domu zmarłego poety w Bronowicach Małych odprawił modły żałobne ksiądz biskup Nowak, następnie zaś w serdecznych słowach pożegnał tego, który ziemię polską tak głęboko ukochał i piękno jej i urok w swych pieśniach wyśpiewał. Ksiądz biskup rozpoczął swe przemówienie, opierając je na tekście ewangelii, odnoszącym się do św. Józefa: „Był mężem sprawiedliwym". „Istota sprawiedliwości polega na tem — mówił ksiądz biskup — by oddać każdemu, co mu się należy, a całe życie ś. p. Lucyana Rydla było tego wymownym obrazem, bo Bogu oddał swe serce, Ojczyźnie którą po Bogu nadewszystko ukochał, cały swój talent, myśli i czyny poświęcił. Dla rodziny był wzorowym ojcem i mężem". Dalej ksiądz biskup podkreślił umiłowanie ludu u ś. p. Rydla, zaznaczając, że przekonaniom swoim dał głęboki wyraz, szukając swego rodzinnego szczęścia właśnie między ludem, nie dla chwilowej fantazyi, lecz z głębokiego przekonania, że Polskę można tylko przez lud odrodzić.

Przy trumnie zgromadziła się rodzina poety, liczni włościanie, przedstawiciele literatury i sztuki, grono przyjaciół zmarłego i delegacye młodzieży szkolnej z Krakowa.

Po przemówieniu księdza biskupa zwłoki złożono na wozie chłopskim w półkoszkach, udekorowanym czerwonem suknem, na tle którego upięto białe kwiaty i żałobną zieloną świerczynę. Czarną skromną trumnę okrywały jedlinowe wieńce. Wóz zaprzężony był w dwie pary siwych koni; na przednich siedziało dwóch parobków w białych sukmanach.

Pięknym, prostym i bardzo swojskim był ten skromny wóz, wiozący na wieczny spoczynek ciało poety. Otoczyli go włościanie, straż pożarna z Bronowic; za trumną postępowali uczestnicy pogrzebu i dzieci ze szkoły bronowickiej, które odprowadziły orszak aż do rogatki łobzowskiej.

Kondukt otwierał krzyż, niesiony przez chłopa w niebieskiej sukmanie; za nim szło duchowieństwo, wreszcie ksiądz biskup Nowak przed trumną. Całą drogę śpiewano wiejskie pieśni pogrzebowe. Więc: „Witaj Królowo Nieba", „Dzień on dzień Sądu Pańskiego", „Zdrowaś Maryo" intonował biskup, a za nim podchwytywały głosy. I tak szedł drogą, zalaną słońcem, wśród żywej jasnej zieleni odradzających się pól, orszak śmierci...

Około rogatki łobzowskiej, prowadzone przez nauczycieli, czekały już tłumy młodzieży szkolnej ze wszystkich uczelni krakowskich, które uszeregowane przyłączyły się do konduktu. Wzdłuż całej ulicy Karmelickiej gromadziły się tłumy publiczności, w przecznicach stały szkoły żeńskie.

Przed głównem wejściem do kościoła N. Maryi



Rozstrzygające walki na Zachodzie: Zdobyty przez Niemców angielski rów strzelecki pod Roupy. (Fot. Bufa)

Panny strażacy bronowiccy zdjęli trumnę z wozu, wnieśli do kościoła i ustawili na jarzącym się od świec katafalku. Uroczystą Mszę żałobną odprawił ksiądz arcybiskup Symon w asystencyi duchowieństwa, przy śpiewach żałobnych chóru kościelnego. Następnie odprawił przy trumnie „Castrum doloris".



Z frontów bojowych: Żołnierz austryacki rozmawiający z Włoszkami przy studni w okolicy Wenecyi. (Woj. kwat. pras.)

Kościół wypełniła szczelnie publiczność, składając hołd pamięci poety. Zwłoki pozostały w kościele do godziny 4 po południu, o której rozpoczął się pogrzeb. Po modłach, odprawionych przy zwłokach w kościele przez księdza biskupa Nowaka, wynieśli strażacy bronowiccy trumnę i złożyli ją na prostym wozie chłopskim, na którym przywieziono śmiertelne szczątki ś. p. Lucyana Rydla rano z Bronowic do Krakowa.

Przy dźwiękach dzwonów kościelnych i pieśni duchowieństwa ruszył żałobny orszak na cmentarz. Otwierały go przeliczne szeregi młodzieży gimnazyalnej ze sztandarami, następnie dwa olbrzymie szeregi księży świeckich i duchownych z księdzem biskupem Nowakiem na czele, który prowadził kondukt.

Za karawanem szła wdowa po ś. p. Lucyanie Rydlu z synem i córką, siostry zmarłego poety, poseł Tetmajer z bliższą i dalszą rodziną, następnie reprezentanci władz, instytucyi, zakładów naukowych, młodzież szkół żeńskich, wreszcie olbrzymi tłum publiczności. Orszak podążył ulicą Szpitalną, gdzie się zatrzymał przed gmachem teatru miejskiego. Chór Towarzystwa operowego wykonał pieśń żałobną, poczem pochód ruszył dalej ulicą Basztową i Lubicz na cmentarz rakowicki, krocząc wśród gęstych szpalerów, jakie zaimprowizowano na wszystkich chodnikach ulic.

Na cmentarzu nad grobem odprawił ostatnie modły ksiądz biskup Nowak, chór Towarzystwa operowego odśpiewał pieśń: „Duszy, co rzuca świata cierpienia", poczem dyrektor teatru p. Siedlecki pożegnał ś. p. Lucyana Rydla serdeczną przemową, którą zakończył następującemi słowy:

„Był poetą... Być poetą w narodach szczęśliwych, wolnych — to znaczy — pomnażać piśmiennictwo, snuć choćby kapryśne, byle piękne strofy. — Być poetą w Polsce, to od półtora wieku nie co innego jest, jak tylko kochać czynnie tę Polskę za wszystkich rówieśnych. Być u nas poetą — to ofiarą swego życia uczyć rodaków cierpieć, trwać i wierzyć.. Być poetą w Polsce, to zamęczać dla niej swe serce zapominać o sobie i o swoich najbliższych — by módz ciągle o niej pamiętać. Mieć oczy i we śnie otworzone — i ducha w zbroi. Oto ten ból i ten ogrom kochania, to unicestwienie siebie i rycerstwo serca, to stróżowanie na polskiej warcie i błogie nadzieje, widziane w Polakach, to jest na rodowy poeta w kraju Jana z Czarnolasu, Skargi, w kraju Mickiewicza!

Takim właśnie narodowym poetą, taką ekstazą dla Polski był Lucyan Rydel. Całą siłą ducha przylgnął do myśli o zgonie Ojczyzny... Nie! nie o zgonie: o dniu zmartwychwstania! Jego natura przeciwna bowiem była żalom i płaczom. Jego natura łaknęła siły otuchy — i tylko powietrzem otuchy oddychać umiała. Nie okolną drogą rozpaczy i przeklinań, lecz prostym szlakiem wiary, nadziei, ufności w moc polskiej siły — szedł ku pokrzepieniu siebie i nas. Był tedy piewcą energii. Nie było dlań zwątpienia, wahania, gdy stawał przed nim pytanie: żali ona wskrześnie? Odpowiedź znał tylko jedną: tak!

A gdy go zapytać było, jaka ona będzie ta wskrzeszona Polska? — to wiedział i głosił, że będzie ona ziszczeniem wszystkich polskich — od Konstytucyi 3 go Maja i od Kościuszki — snów o Polsce odmłodzonej przez lud, przez chłopa. — Wiara ta nie była dlań teoryą, programem. Wiara ta — to jego krew, jego życie. Bez tej wiary — nie byłoby go. On nie schodził do ludu, on wchodził w lud. Nie zaszczycał sobą chłopa, czuł się dumnym, że lud go za swego uznaje. Nie zapomnicie mu tego, wy, ludu polski!

Był z rasy duchowej tych dawnych, dobrych Polaków. Nieskazitelnie prawy, a jakże serdecznie dobry — jak praojce, wierzył w Boga po prostu, a mocno, niezłomnie. Polskę kochał płomiennie Był z tych, o których się myśli, że gdy już stają przed Bogiem, to wprzód błagają Go o zbawienie Ojczyzny, a potem dopiero o zbawienie swoje.

Ten ci był człowiek, ten ci był artysta którego ziemia przyjmie z powrotem na swą wieczną własność. Z ziemi powstał — i radośnie w ziemię się obróci, by się stać drobiną skiby ojczystej, tej, którą tak ukochał, którą tyle razy śpiewał w poezyi swej.



Rozstrzygające walki na Zachodzie: Ślady zniszczenia w miejscowości Bapaume.

Imieniem literatury i sztuki polskiej, imieniem komitetu, w którym nie brakuje przedstawiciela żadnej gałęzi twoich różnorodnych, owocnych utrudzeń, ani też nie brakuje żadnej warstwy społeczeństwa, więc od całego narodu, żegnam Cię drogi, niezapomniany towarzyszu, przyjacielu, mistrzu. — Nie zapomnimy o Tobie i czynach Twych, a na grób Twój jak najrychlej powiew drzew i zbóż niech Ci przyniesie wieść, przez Ciebie tyle upragnioną, wieść o wolnej, niepodległej i całej w chwale Ojczyźnie.

Żegnaj!"

Cisza się zrobiła wielka, gdy padały te piękne, silne, a tak kunsztownie powiązane słowa, podnoszące zasługi zmarłego poety. Nie było w nich patosu, tętniła tylko szczera, gorąca miłość, z jaką Polak artysta żegna brata artystę, brzmiał żal serdeczny, jaki imieniem wszystkich gałęzi naszej pracy twórczej miał mówca wyrazić. I dziwny jakiś nastrój objął zgromadzone zasłuchane tłumy — wszyscy stali się sobie bliscy i drodzy, a połączyła ich ta otwarta mogiła, ta trumna człowieka, który kochał Polskę.

A potem, gdy skończył, zabrzmiała rzewna ludowa pieśń „Witaj Królowo niebios"; podchwyciły ją liczne głosy i rozlewała się szerokiem echem, gdy na trumnę padały grudki ziemi, rzucane rękoma wiernych.



Rozstrzygające walki na Zachodzie: Sztab niemieckiej dywizyi piechoty na zajętem stanowisku angielskiem. (Fot. Bufa).

Adam Wiaryga-Miniecki.

MAŁŻEŃSTWO WOJENNE.

Powieść z dni ostatnich.

44

Wzięła próżną szklankę i nachylając się do ucha Walczakowej szepnęła:

— Mleko gorące pije i nie mówi nic!... Wie pani, ja się boję, czy jej się aby jaka klepka nie obruszyła w głowie..

Anielka wzruszyła ramionami. Ta stara panna ze swemi dziwactwami zaczynała ją trochę denerwować.

Panna Antonina szepnęła jeszcze:

— A możeby księdza poprosić? Niechby się wyspowiadała.

— Dobrze — odszepnęła Walczakowa — zapytamy o to, ale później dopiero. A teraz... możeby pani była tak dobrą zostawić nas na chwilę same.

Wargi panny Antoniny zacisnęły się ponuro.

— A pewnie... Pani prędzej z niej coś wydobędzie. U niej zawsze pierwsi byli obcy, a ciotka to ani za hętkę pętelkę.

Ręka, w której trzymała szklankę, zadrżała lekko.

— Eh! — rzuciła jeszcze panna Antonina i wyszła.

Anielka myliła się wszakże sądząc, że Józia sam na sam okaże się skłonniejszą do zwierzeń i rozmowniejszą.

Chora bowiem leżała milcząco, wlepiając wzrok w przestrzeń, z jakiemś zastraszającem osłupieniem. Niepodobna było odgadnąć, czy i jakie myśli przewijały się przez jej mózg.

Na zadawane pytania odpowiadała bardzo krótko, niechętnie, z widocznym przymusem.

Przyjaciółka, nie chcąc jej rozdrażniać dała spokój bezskutecznym wysiłkom zawiązania rozmowy.

— — — — — — — — — — — — — —

Minął tydzień jeszcze. Lekarz zadowolony był na ogół ze stanu zdrowia Józi, niepokoiła go tylko trochę i dziwiła kompletna apatya pacyentki.

— Siły wracają, ciało wzmacnia się — rzekł pewnego razu do Walczakowej — ale tu jest jeszcze jakieś cierpienie moralne, wobec którego medycyna jest bezsilna.

Anielka smutnie pochyliła głowę. Ona sama nie wiedziała już, co myśleć i co robić, aby Józię wyrwać z tego stanu moralnego odrętwienia.

Raz tylko chora ożywiła się na chwilę, kiedy jej przyjaciółka pokazała fotografię swojej malutkiej córeczki.

Oczy Józi błysnęły, uważnie przyjrzała się fotografii.

— Do kogo ona podobna? — rzuciła z zainteresowaniem. — Do ciebie, czy do pana Kazimierza? Z fotografii trudno poznać... Ale cudne dziecko!...

— Trochę do mnie, trochę do Kazia; a najbardziej sama do siebie — odpowiedziała Walczakowa, z cudnym uśmiechem szczęśliwej matki. — Ciocia Krzysia zaś twierdzi, że jest najpodobniejsza do niej.

Józia przez chwilę jeszcze wpatrywała się w okrągłą buzię dziecka, poczem oddała fotografię.

Wzrok miała znowu tępy, przygasły.

— Józia... — rzekła — więc dałaś jej moje imię... Szkoda... To imię szczęścia nie przynosi.

Walczakowej szarpnęło się serce w piersi.

— Józiu!... — krzyknęła i ścisnęła przezroczystą, wychudłą rękę przyjaciółki w swoich dłoniach — Józiu, powiedz...

Józia usunęła powoli rękę i opadła na poduszki.

— Nie chce mi się mówić... — powiedziała niechętnie.

Po chwili dorzuciła:

— Wiem, ty i ciocia Antosia jesteście bardzo dobre dla mnie... za dobre... Powinnabym być nie wiedzieć jak wdzięczna... Ale nie mogę... bo tak mi jest — położyła rękę na sercu — jakbym tutaj miała kawałek lodu...

Zamknęła oczy i umilkła. Niepodobna było potem przez kilka godzin wydobyć z niej choćby jednego słowa.

Pannie Antoninie działało to poprostu na nerwy. Kilkakrotnie próbowała wszczynać kłótnię z Józią, byle ją tylko rozruszać. Aż Walczakowa musiała hamować tę nadmierną gorliwość popędliwej kobiety.

Obie kolejno czuwały przy chorej w nocy.

Jednego dnia rano, w czasie nieobecności Walczakowej, posługaczka szpitalna przyniosła pannie Korzewskiej bilet wizytowy, mówiąc:

— Ten pan czeka. Chciał tutaj iść wprost, ale powiedziałam, że tak nie można.

Józia nie zwróciła na te słowa żadnej uwagi, nie zapytała o nic.

Panna Antonina rzuciła okiem na bilet i poczerwieniała jak burak z gniewu. W wyblakłych jej oczach zamigotały groźne błyskawice.

Spojrzała na siostrzenicę, potem znowu na bilet, otworzyła już usta aby coś powiedzieć, ale zamknęła je bez dźwięku.

Przez chwilę namyślała się, mnąc i łamiąc bilet w palcach.

— Wrócę zaraz — rzekła wreszcie głosem, zdradzającym wzburzenie. — Jakbyś potrzebowała czego, zadzwoń.

I szybko wyszła, zapomniawszy nawet zamknąć drzwi za sobą.

W poczekalni podniósł się na jej przywitanie blady, wzruszony, zdenerwowany... Konrad Żarnicki!

Był w cywilnem ubraniu i wyglądał bardzo mizernie. Czarne oczy błyszczały niepokojem.

Podbiegł ku pannie Korzewskiej i bez tchu prawie zawołał:

— Józia!... Co z Józią?!

Stara panna nie odpowiedziała na jego ukłon i założywszy po napoleońsku ręce, przypatrywała mu się ze zjadliwem, pogardliwem szyderstwem.

— Na miłość Boską! Co z Józią!! — w głosie Żarnickiego zadźwięczało szalone zdenerwowanie. Widać było, że dygocze cały.

— Niechże pani mówi coś! Ja...

— Aha! Szanowny pan dobrodziej raczył sobie rychło wczas przypomnieć, że ma żonę — wycedziła panna Antonina.

Mąż Józi nerwowo obracał kapelusz w ręku.

— Nie wiedziałem, co się z nią dzieje... Pisałem do Krakowa... Ale na Boga, gdzie ona?! Czy... czy...

— Żyje i żyć będzie! — przerwała panna Antonina — ale to łaska Boska i pomoc dobrych ludzi, ale nie pańska zasługa!

Żarnicki odetchnął głęboko i przesunął ręką po czole.

— Dziękuję pani za opiekę nad nią... — pochylił się do ręki starej panny, ale ta wyrwała mu ją gwałtownie.

— Dziękujesz pan?! — krzyknęła. — Patrzcie go, jaki teraz czuły i troskliwy! A cóż to ona bliższa panu, niż mnie?!

Konrad chciał wtrącić coś, ale mu nie dała dojść do słowa.

— Niby powinna być bliższa, bo pan masz święty obowiązek być jej opiekunem, aleś się tak o nią troszczył, jak pies o piątą nogę!

Żarnickiemu krew uderzyła do głowy.

— Pani!..

— Jak pies o piątą nogę, powtarzam!... Gdzieś pan był dotychczas, co?! — wrzasnęła.

— Przy wojsku. Ja miałem ręce związane... Proszę pani, gdzie Józia?... Pani zechce poprowadzić mnie do mojej żony...

Ostatnie słowa wypowiedział prawie rozkazująco. Ton jego przyprawił pannę Antoninę o formalny atak rozwścieklenia.

Przyskoczyła do męża siostrzenicy i przed sama jego twarzą, wymachując rękami, wołała:

— Pan tu będziesz jeszcze głos podnosił?! Coście wy z niej zrobili?! Zmarnowali, zgubili, zniszczyli! Dziewczyna była jak kwiat, jak róża, a teraz serce się kraje patrzeć!...

— Chora... bardzo?!...

— I jeszcze... jeszcze gorzej mogło być!... A wszystko przez pańską głupotę i podłość pańskiej ma...

Żarnicki naprzemian to blady śmiertelnie, to krwisto czerwony nie pozwolił jej dokończyć.

— Pani! Wiem, że zawiniłem, ale w ten sposób o matce mojej...

— Matka pańska zbrodnię popełniła!... Rozumiesz pan, zbrodnię!... I pan także!... Czegoś się pan czepiał tego biednego dziecka! Stałeś się jej nieszczęściem!...

Głos panny Antoniny rozbrzmiewał tak donośnie, że w uchylonych drzwiach jęły migać zaciekawione twarze służby szpitalnej.

Konrad spuścił głowę jak pod uderzeniem. Czuł się winnym, ale wrodzona mu popędliwość podszeptywała mu słowa gniewne i dumne.

Panna Antonina Korzewska nie była osobą, któraby umiałaby „roztrząsnąć" człowiekowi sumienie, nie przebierając przytem miary.

Nadmiarem taktu i delikatności nie grzeszyła nigdy.

To też scena stawała się przykrą i mogła zakończyć się awanturą, gdyby do poczekalni nie weszła Walczakowa.

Była w kapeluszu, w futrzanym żakiecie, zaróżowiona od zimna i szybkiego chodu.

Na widok męża Józi, łagodne jej zazwyczaj oczy nabrały surowego wyrazu, a jasna, pogodna twarz spochmurniała.

— A!.. Przyjechał pan...

Żarnicki złożył nizki ukłon.

— Dostałem kilkomiesięczny urlop dla poratowania zdrowia. Dowiedziałem się... Przyjechałem natychmiast...

— Czy pan był w Łykowie? Widział się pan ze swoją matką?

— Nie.

— A dlaczego nie?! — wpadła mu w mowę panna Antonina. — Byłby się pan przynajmniej pięknych rzeczy dowiedział!

Konrad, nie spoglądając na nią, zwrócony tylko do Walczakowej, mówił:

— Chciałem jak najprędzej... Od pół godziny czekam napróżno na widzenie się z żoną... Proszę więc...

— Czy nie uważa pan — przerwała mu ostrym tonem młoda kobieta — że należałoby wpierw zapytać jej czy życzy sobie widzieć się z panem...

Czarne oczy Konrada błysnęły hardo.

— Józia... Moja żona...

— Józia była bardzo chora. Pańska żona umierała z głodu, w nędzy i opuszczeniu! Nie zwróciła się o pomoc do nikogo, bo nie chciała żalić się, a nie chciała oskarżać pana ani pańskiej rodziny!...

Konrad zadrżał. Był w tej chwili tak blady, wyglądał na tak przybitego i zgnębionego, że Walczakowa umilkła, bo się jej go żal zrobiło.

— Więc to tak było!... — powiedział jakby sam do siebie. — Gdybym był wiedział... Gdybym był przypuszczał... A ja pisałem do Krakowa i nie otrzymywałem odpowiedzi... Sądziłem, że Józia jest u pani i... że...

Zająknął się.

Walczakowa spojrzała mu bystro w oczy. Odgadła tajemną myśl jego i twarz młodej kobiety zapłonęła rumieńcem obrazy.

— I że ja, którabym chętnie, czego się nie zapieram, widziała Józię żoną pana Michnika, protegują jego miłość do mężatki!.. O!... Panie Żarnicki!...

Konrad opuścił wzrok ku ziemi. Takie było istotnie jego podejrzenie, które go przyprawiało o udręki zazdrości.

— Wiem, że stało się dużo złego — rzekł po chwili, jakoś bardzo miękko, swoim dziwnie sympatycznym głosem — ale panie chyba nie możecie, ani też nie zechcecie zagradzać mi drogi do żony.

Panna Antonina zamruczała coś gniewnie i niewyraźnie. Walczakowa odrzekła:

— Ani nam to w głowie. Musi pan wszakże pozwolić, że uprzedzę Józię. Niespodzianki mogą być dla chorej szkodliwe.

— Ale jej lepiej?!

— O, dużo lepiej, ale jest jeszcze bardzo słaba...

Walczakowa wyszła, pozostawiając Konrada sam na sam z panną Korzewską.

Przy Józi zastała posługaczkę. Kazała jej odejść i wahającym trochę tonem rzekła:

— Józiu, mam dla ciebie nowinę... Bardzo ważną...

Chora nie zmieniła położenia, nie odwróciła głowy i nie odpowiedziała.

— Józiu, słyszysz, mam dla ciebie nowinę! I to taką, która cię powinna ucieszyć...

— Powinna mnie ucieszyć? — w głosie Józi dało się słyszeć coś jakby odcień ironii.

Anielka już bez dalszych wstępów powiedziała:

— Twój mąż przyjechał... Jest tutaj... Chce zobaczyć...

Chora drgnęła lekko.

— Tak?... A skądże się wziął? — zapytała w ten sposób, jakby szło o najobojętniejszą rzecz w świecie.

— Chcesz się z nim widzieć?

— Wszystko mi jedno.

Anielka była mocno strapiona, ale nie chcąc dać dłużej czekać Konradowi, poszła do niego.

Zobaczyła że panna Korzewska stoi przed Żarnickim rozczerwieniona z miną pogromicielki, a on ściska kurczowo kapelusz w ręku i przygryza drgającą dolną wargę.

Nie trudno było domyślić się, że panna Antonina wykorzystała ten czas, aby mężowi siostrzenicy wypowiedzieć parę jędrnych słów prawdy.

— Proszę pana, Józia już wie. Niech pan idzie. Separatka Nr. 5.

Panna Antonina uczyniła taki ruch, jakby chciała iść za Konradem, ale Anielka powstrzymała ją.

— Zostawmy ich, niech się sami porozumieją.

Stara panna posępnie skinęła głową.

— Prawda. Jak już raz wzięła z nim ślub, to trudno. Głupstwo było, bo było, ale się zrobiło, a te rozwody i separacye, to rzecz bezbożna.

— — — — — — — — — — —

Kiedy po kilkunastu minutach Walczakowa weszła do separatki szpitalnej, stanęła w progu zdziwiona i zmieszana.

Józia, nieco wyżej wsparta o poduszki, miała usta lekko skrzywione, jakby grymasem niezadowolenia i patrzyła na białą ścianę pokoju.

Konrad blady, roztrzęsiony stał obok łóżka i wpatrywał się w żonę przerażonemi oczyma. Zobaczywszy Anielkę zwrócił się ku niej:

— Co ja zrobiłem! — zawołał głosem, w którym dźwięczała rozpacz. — Straciłem ją!... Jestem dla niej obcy!...

Serce Anielki zabiło współczuciem Wiedziała, że nie udaje, że jest naprawdę zrozpaczony.

— To nie jest człowiek zły — pomyślała — tylko słaby... I on ją kocha.

— Józia jest chora — wyrzekła łagodząco.

— Jaka ona wymizerowana!... I gdyby nie pani... nie panna Korzewska... Boże!... Józia! moja Józia!..

Anielka podeszła bliżej i pochyliła się nad przyjaciółką.

— Józiu, powiedz coś do niego.

— Ona mnie już nie kocha.

Józia otrząsnęła się z jakąś niecierpliwością.

— Ja nie kocham nikogo teraz.. Dajcie mi spokój.. Nie męczcie mnie!...

Konrad łamał ręce. Widać było po nim, że nie wie co robić.

— Niech jej pan nie rozdrażnia — szepnęła Walczakowa — ona tyle przeszła. Chora jest i duszę ma chorą. Trzeba ją odchuchać, jak zmarzłego ptaka.

— Wynajmę zaraz mieszkanie — zaczął gorączkowo — przeniosę ją tam i...

Walczakowa potrząsnęła przecząco głową.

— Nie, tak być nie może. Pan powinien naprzód pojechać do matki, rozmówić się z nią poważnie i uregulować swoje sprawy rodzinne.

Konrad milczał.

— Józia potrzebuje ciszy, spokoju, pielęgnacyi i świeżego powietrza. Wezmę ją ze sobą do Zalesinek.

— Do Zalesinek? — zapytał żywo Żarnicki, ale zaraz spuścił wzrok pod jasnem, czystem wejrzeniem młodej kobiety.

Anielka uśmiechnęła się lekko.

— Niech się pan nie obawia. Michnik przeniesiony z Zalesinek, a zresztą on się żeni. Niechże więc pan jedzie i wraca. Zapraszam pana do Zalesinek.

— Ale ona... Józia... Józiu, powiedz, czy ty mi przebaczysz kiedy!... Czy pokochasz mnie znowu... — Konrad chwycił opadłą na kołdrę rękę żony.

Józia spojrzała na męża oczyma, które były jak przyćmione, przygasłe gwiazdy i powiedziała obojętnie:

— Nie wiem..

K O N I E C

Zjazd młodzieży katolickiej.

Ażeby przeciwdziałać demoralizacyi, szerzącej się wśród młodzieży w związku z nienormalnemi warunkami życia w czasie wojny, powstały po miasteczkach i wsiach, za staraniem duchowieństwa, Związki katolickiej młodzieży. Pewnego rodzaju przeglądem pracy w tym kierunku był pierwszy Zjazd delegatów Związków katolickiej młodzieży dyecezyi tarnowskiej, odbyty od 4 do 7 marca w Woli Rzędzińskiej pod Tarnowem.

Uczestników Zjazdu było około 200. Jako cel obrał sobie Zjazd podnieść i umocnić chłopców na duchu, oświecić ich pod względem społecznym i gospodarczym, zachęcić do dalszej skuteczniejszej pracy. W cichem ustroniu rozpoczęto pracę uroczystem nabożeństwem w kościele, poczem zebrali się uczestnicy w pięknie przystrojonej sali domu parafialnego, gdzie powitał ich podniosłem i serdecznem przemówieniem prezes dyecezyalnego Zarządu związków, ks. prałat Kasper Mazur, dziękując za tak liczny udział i życząc Zjazdowi jak największych owoców.



Zjazd młodzieży katolickiej: Grupa uczestników zjazdu.

Wieczorem uczestnicy zjazdu wzięli udział w przedstawieniu amatorskiem, na którem odegrano: „Jest to cnota nad cnotami trzymać język za zębami" i „Polska już wolna" ks. Pawła Wieczorka.

W następne dni Zjazdu odbywały się pouczające wykłady wraz z żywą dyskusyą. Pierwszy odczyt wygłosił ks. dr Józef Lubelski, o miłości Ojczyzny i potrzebie oświaty. Następnie ks. Jan Fortuna, katecheta z Tuchowa, mówił „o zabawach". Po południu znany przyjaciel młodzieży i doświadczony profesor p. Kurowski z Tarnowa przedstawił chłopcom całą historyę drzewka, zaczynając od wybrania gleby, sadzenia, pielęgnowania, zbierania owoców.

Jeden z uczestników Zjazdu w imieniu wszystkich podziękował za piękny i zajmujący odczyt. Wieczorem odbyło się przedstawienie amatorskie. Odegrano „Kucie kos" z „Kościuszki pod Racławicami" i „Lekarstwo na wszystko". Tu podnieść należy wielką energię i sprawność miejscowego Związku młodzieży i bardzo wydatną pomoc tamtejszego nauczycielstwa ludowego i pp. urzędników kolejowych. Wspólnemi siłami odegrali oni aż cztery sztuki dramatyczne, które wypadły wprost wspaniale.

Na zjazd przybył także ks. biskup tarnowski, który po odprawieniu Mszy św. i udzieleniu komunii św. wszystkim chłopcom przemówił do nich w serdecznych słowach.

Na zakończenie zjazdu uchwalono jednogłośnie następujące rezolucye:

1) Zjazd Związków katol. młodzieży polskiej dyecezyi tarnowskiej, zebrany na dwudniowym kursie w Woli Rzędzińskiej, protestuje przeciwko rozdarciu naszej Ojczyzny przez oderwanie Chełmszczyzny i Podlasia i domaga się całej Polski wolnej, niepodległej i zjednoczonej.

2) Zjazd Związków katol. młodzieży polskiej w Galicyi przesyła braterskie pozdrowienie młodzieży polskiej pod zaborem pruskim i rosyjskim.

3) Wyraża hołd i cześć najgłębszą Księżom Biskupom i przyrzeka synowskie posłuszeństwo.

4) Uchwala zwalczać pijaństwo, a popierać przemysł i handel polski.

5) Wzywa wszystką młodzież polską do organizowania się w związki, oparte na zasadach katolickich.

Wojna na wschodzie.

Państwa centralne zawarły wprawdzie pokój z Rosyą, ale walki na wschodzie bynajmniej nie ustały. Traktat pokojowy, podpisany przez oficyalnych przedstawicieli rządu bolszewickiego, nie wpłynął bynajmniej na postawę band bolszewickich, które usiłowały stawić opór posuwającym się wojskom niemieckim, zarówno w prowincyach nadbałtyckich, jak i na Ukrainie. Naturalnie zaimprowizowana w ten sposób przez bolszewików „obrona“ nie mogła powstrzymać marszu wojsk niemieckich. Choć nieraz nieźle uzbrojone, ale zdemoralizowane bandy bolszewickie, pozbawione przytem jednolitego kierownictwa, były groźne tylko dla bezbronnej ludności. W każdym jednak razie wojska niemieckie i po podpisaniu pokoju niejedną musiały stoczyć walkę z bolszewickiemi oddziałami. Epizody tych walk, toczących się obecnie na wschodzie, przedstawiają zamieszczone w dzisiejszym numerze fotografie.

W związku z temi „nieoficyalnemi“ walkami na wschodzie należy zanotować wiadomości, nadchodzące obecnie z Rosyi, a świadczące, że i oficyalni przywódcy bolszewików szykują się do wznowienia wojny.

Według telegramu korespondenta „Daily News“ z Moskwy, nadanego dnia 9 kwietnia, wypowiedział Lenin mowę, w której oświadczył, że Rosya czyni co może, aby uniknąć nowych okropności, lecz będzie to daremne, gdyż będzie ona musiała na nowo walczyć.

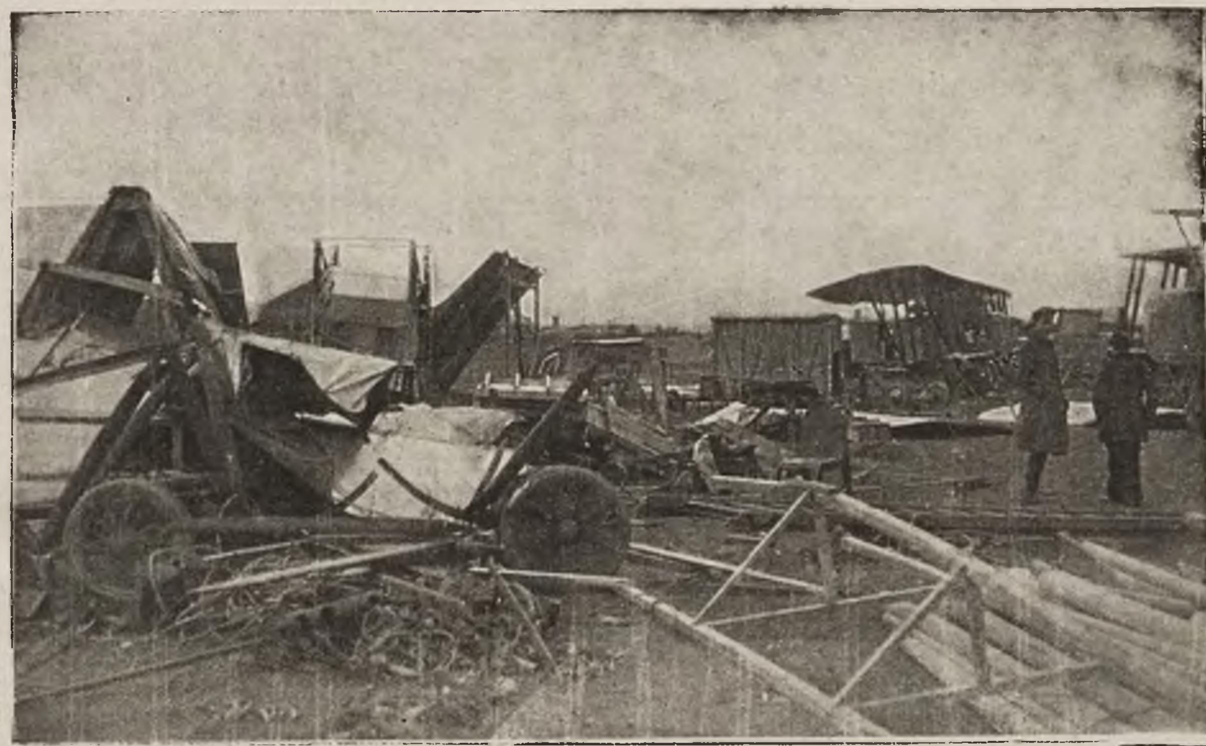
Zapowiedź tę, już bardziej szczegółową, przynosi następujący telegram agencyi Havasa z Petersburga:

Polityka bolszewików uległa doniosłej zmianie. Trocki i inni przywódcy bolszewików dążą do porozumienia ze stronnictwami obywatelskiemi i do połączenia się z dawnymi sprzymierzeńcami Rosyi. Rada komisarzy ludowych czyni wielkie wysiłki celem zorganizowania armii i floty. Rząd przygotowuje też apel do finansistów rosyjskich, aby udzielili swej pomocy przy odrodzeniu Rosyi.

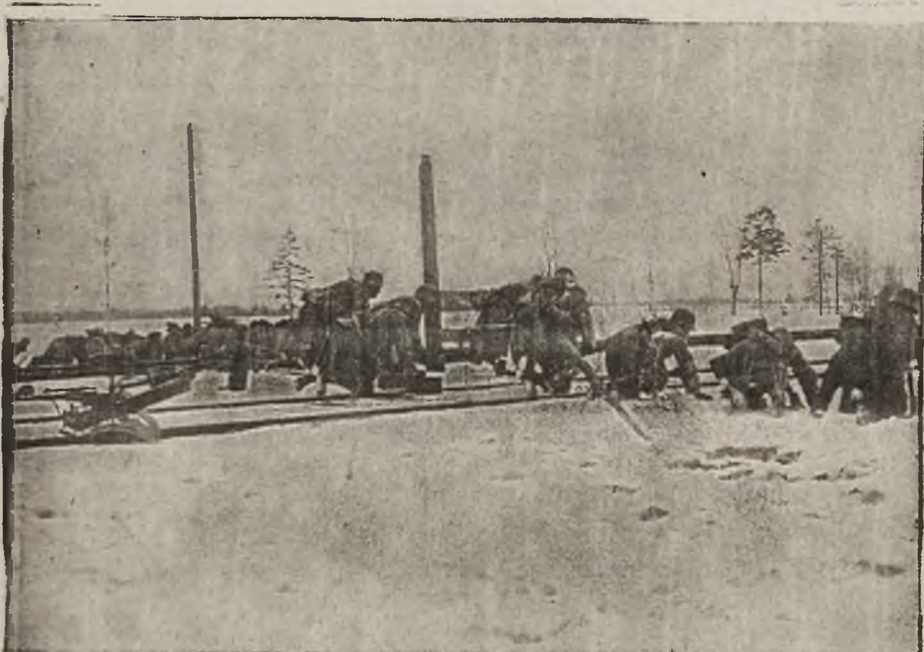
Komendant wojskowy obwodu moskiewskiego generał Bojow, oświadczyć miał, że w przeciągu dwóch miesięcy wystawi armię, złożoną z miliona ludzi. Generał Evert uwolniony został z więzienia i wstąpił do armii.

Wydział związku szlachty rosyjskiej wręczył generalnemu konsulowi francuskiemu w Moskwie deklaracyę, w której oświadcza się za ponownem współdziałaniem z koalicyą.

Doniesienie to potwierdza wiadomość „Vos. Ztg.“ że Trocki formuje w Petersburgu oddział wojska, który ma wkroczyć do Finlandyi, zajmowanej, jak wiadomo, obecnie przez wojska niemieckie. W tej akcyi mają wspomagać Trockiego Anglicy, który pomiędzy Kemem a Kandalakszą urządzili liczne składy materyałów wojennych, które zaopatrzą oddziały Trockiego w karabiny maszynowe, miotacze min, wszelką broń palną i sieczną, tudzież we wszystkie potrzeby lekarskie. Kilkunastu oficerów angielskich, otrzymawszy obywatelstwo rosyjskie, znajduje się w głównej kwaterze wojsk Trockiego.

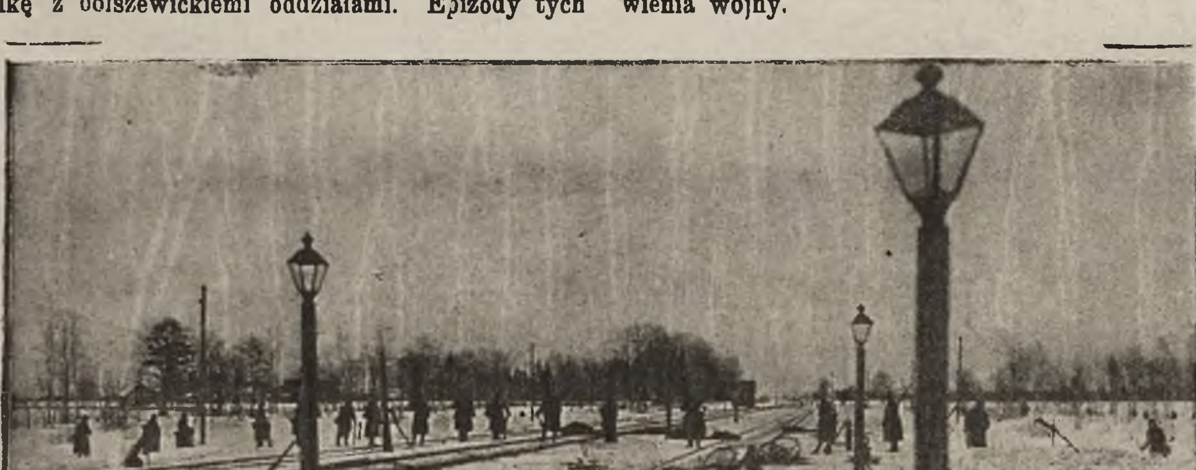


Wojna na wschodzie: Aeroplany zniszczone przez bolszewików w Winnicy (Woj. świat. pras)





Wojna na wschodzie Niemiecki oddział rowerzystów w walce z bandą bolszewików na Inflantach Fot. Bufa



Wojna na wschodzie: Utarczka z bolszewikami na Inflantach (Fot Bufa)

Piotr Zaccone

Tragiczna noc

Tłumaczyła z francuskiego: Marya Segeny.

21

Oktawiusz słuchał z największem zdziwieniem. Pewność siebie i zuchwałość Lopeza zastanawiała go i pomimo woli imponowała.

— Nazajutrz po zaproponowaniu Frankowi małżeństwa ze swoją córką — ciągnął dalej Lopez — pan de Compans udał się do pana i uczynił panu propozycyę, którą ze wszelkich względów powinien pan był przyjąć.

Jaką propozycyę? — zapytał Oktawiusz.

— Pan de Compans ofiarował panu milion franków, które powinny były panu pomódz do rozwinięcia własnych interesów i utworzenia sobie poważnej finansowej karyery.

— A więc?

— A więc, pan się zawahał; wolał pan iść za głosem Sylwii, mówiącej panu o miłości, szczęściu i zapomniał pan o wszystkiem, aby myśleć tylko o przygotowaniu ucieczki, która ustaloną jest na noc dzisiejszą. Czy nie dobrze jestem poinformowany, kochany panie?

Oktawiusz drgnął silnie i już otwierał usta, aby coś odpowiedzieć, kiedy Lopez powstrzymał go energicznym ruchem ręki.

— Nie powiedziałem jeszcze wszystkiego! — rzekł spokojnie — Niech mnie pan wysłucha do końca, a potem osądzi pan sam, co mu dalej czynić wypada.

Zapanowało krótkie milczenie. Lekki rumieniec wybiegł na twarz Oktawiusza, serce jego biło niespokojnie w piersiach. Nie mogąc opanować zdenerwowania, niecierpliwym ruchem uderzał nogą o posadzkę.

— Ja wcale nie potępiam myśli porwania panny Sylwii de Compans! - odezwał się w końcu Lopez — Ta ucieczka jest dobrym środkiem do zerwania projektowanego małżeństwa i to pod tym względem tylko pochwalić mogę, że się pan na to zdecydował. Ale proszę przypuścić rzecz podobną. Znajduje się pan naprzykład w Szwajcaryi, gdzie spędza pan pierwsze dnie miodowego miesiąca i nagle, bez żadnego przygotowania, dochodzi do pana wiadomość, że pan de Compans zawiesił wszystkie swoje wypłaty i jest kompletnie zrujnowany. No i cóż panie Oktawiuszu? Jakże wówczas zachowałby się pan wobec panny Sylwii, którą pan skompromitował i zniesławił na zawsze, a która powodowana ślepą miłością zawierzyła panu, jak samej sobie. Zdaje mi się, że pomimo wszystko, byłby pan zmuszony się z nią ożenić, nieprawdaż?

Podczas kiedy Lopez mówił, Oktawiusz uczuł zimny pot występujący mu na czoło: śmiertelna bladość oblekła jego twarz, a spojrzenie jego rozgorączkowane i pytające zatrzymało się na twarzy mówiącego.

Ale prędko otrząsnął się z tego wrażenia. Ironiczny uśmiech prawie natychmiast ukazał się na jego ustach i wzruszając ramionami, wyrzekł pogardliwie:

— Ta uwaga byłaby godną rozstrząśnienia, gdyby nie pochodziła od przyjaciela mojego rywala. Ale dlaczegoż pan pragnie, abym się obawiał katastrofy, której on sam zdaje się wcale nie lękać i jakież są powody, dla których mógłbym powątpiewać o solidności sytuacyi materyalnej pana de Compans, kiedy znowu, o ile się nie mylę, pan sam nie wątpi ani na chwilę.

Lopez przytaknął ruchem głowy.

— Rzeczywiście — odparł — uwaga pana jest słuszna, chociaż pomylił się pan co do znaczenia moich słów. Sytuacyę finansową pana de Compans znam doskonale. Jest bardzo pewna. Posiada przeszło trzy miliony franków i nie sądzę, aby jaka przewidziana katastrofa mogła go z nich obedrzeć.

— A więc? — zawołał Oktawiusz Gaudin, patrząc tryumfująco w twarz Lopeza.

— A jednak pomimo to, panie Gaudin, czuję się w obowiązku ostrzedz pana, właściwie poradzić, abyś się powstrzymał ze swoimi zamiarami.

— Doprawdy?

— Niech pan chociaż zaczeka dni kilka.

— Takie jest pana zdanie?

— Daje panu na to moje słowo honoru.

— I podczas kiedy ja czekać będę — zaśmiał się ironicznie młody człowiek — pana protegowany poślubi moją narzeczoną, czy nie tak?

— Kto to panu powiedział?

— Więc nie?

— Zdaje mi się, że się wyrażam dosyć jasno! — odparł zimno Lopez.

— A przecież dzisiaj wieczorem pan de Compans przedstawia swoim gościom doktora Franka jako narzeczonego panny Sylwii.

— Rzeczywiście.

— Jest to krok potwierdzający tylko moje przypuszczenia. Takie publiczne przedstawienie równa się podpisowi kontraktu małżeństwa.

— Jeżeli ktoś chce tak to sobie tłumaczyć! — odparł Lopez spokojnie.

— Czy więc pan sądzi, że doktor Frank może lojalnie przyjąć podobną sytuacyę, jaka mieć będzie miejsce dzisiaj wieczorem, ze stanowczą wolą odrzucenia następnie układów zawartych z panem de Compans?

Lopez ujął rękę Oktawiusza i wpatrzył się w niego głębokiem spojrzeniem.

— Panie Gaudin — rzekł — nie mogę w żaden sposób powiedzieć panu obecnie nic więcej i żałuję tego mocno. Winienem był wyjawić część prawdy i tę wyjawiłem już panu. Teraz jest pan wolny, nie mam nic więcej do dodania i uczyni pan to, co sam uzna za stosowne. Ale powtarzam panu raz jeszcze — dodał ściskając serdecznie rękę młodego człowieka — niech się pan dobrze zastanowi nad tem, co pan zamierza uczynić i niech pan nie lekceważy rad, jakie panu dałem dzisiaj.

Oktawiusz powstał.

— Dobrze! — wyrzekł zimnym tonem — Przekonam się jutro, panie Lopez, czy słuszność była po pana stronie. Ale do tego czasu nie zmienię nic w swoich planach.

— Jak się panu podoba.

— Chciałbym tylko wiedzieć, czy pan doktor Frank nie uchyli się przed mojem żądaniem, jeżeli za dni kilka będę chciał się z nim widzieć?

— Ależ oczywiście, obiecuję to panu.

— Może mi pan to poręczyć słowem honoru? — nalegał młody człowiek.

— Mojem słowem i jego również! - odparł poważnie don Lopez.

— To mi wystarcza. A więc do jutra, dobrze?

— Do jutra.

Oktawiusz pożegnał don Lopeza i wyszedł.

Zaledwie drzwi się za nim zamknęły, kiedy Lopez pobiegł do Franka, oczekującego w drugim pokoju na rezultat tej rozmowy.

— No i cóż? — zapytał Frank, ujrzawszy przyjaciela.

— Wszystko jest na najlepszej drodze! — odparł Lopez z ożywieniem — Mamy czas do jutra.

— Czy pan jest pewny, że uda się panu dzisiejszej nocy?

— Tak, jestem tego pewny.

A więc wychodzimy teraz, czy tak?

— Natychmiast! Nie mamy, mój kochany doktorze, ani chwili do stracenia.

Powóz Lopeza oczekiwał przed domem i sztangret otrzymawszy rozkaz ruszył wyciągniętym galopem, drogą prowadzącą do willi Bierres.

Podczas drogi obydwaj towarzysze, każdy zajęty swojemi myślami, nie odzywali się wcale do siebie.

Kiedy stanęli na miejscu, zabawa wrzała w całej pełni. Salony przepełnione były wykwintną publicznością, na wszystkich twarzach jaśniała wesołość i zadowolenie. Bankier de Compans umiał podejmować i olśnić swoich gości.

Oczekiwano tylko na Franka. Kiedy służący oznajmił jego przybycie, ruch jeszcze większy uczynił się na sali.

Historya jego małżeństwa z córką bankiera wydawała się dotąd bajką dla wszystkich i ciekawość, więcej może, niż nadzieja zabawy, zgromadziła tu ten tłum żądny nowej sensacyi i wzruszeń.

Nikt nie chciał wierzyć, aby podobny związek mógł być traktowany na seryo przez barona. Wydawało się wszystkim rzeczą nieprawdopodobną i romantyczną, aby bankier de Compans oddawał córkę swoją człowiekowi nieznanemu jeszcze wczoraj, bez majątku i bliższej rodziny.

Kiedy Frank wszedł do salonu, wszystkie oczy z ciekawością zwróciły się na niego.

Pierwsze wrażenie, jakie uczynił, było bardzo dodatnie.

Frank był blady i wzruszenie malowało się na jego twarzy, a przytem tyle miał w sobie wrodzonej dystynkcyi i prostoty, że odrazu podbił wszystkie serca kobiet i zyskał sympatyę mężczyzn, zgromadzonych u pana de Compans.

Bankier żywo podszedł ku niemu, ujął go za rękę i przyprowadził do Sylwii.

Wszyscy odczuli, że ta chwila była decydująca i spojrzenia rozciekawionych kobiet bieg y rozgorączkowane ku młodej parze.

Sylwia również była trochę blada ale siłą woli, którejby się nie powstydził najsilniejszy mężczyzna, potrafiła uśmiechnąć się do Franka i powitać go prawie serdecznie. Najpoważniejsza więc chwila przeszła w naturalny sposób bez żadnej niespodzianki.

Pan de Compans czuł się bardzo zadowolonym i szczęśliwym, twarz jego błyszczała radością i uśmiech tryumfu zawitał na jego ustach.

— Czy jesteś sam? — zapytał po chwili Franka, badawczem spojrzeniem obejmując zgromadzonych, którzy grupami przesuwali się po sali.

— Nie — odpowiedział młody człowiek. — Jest ze mną mój przyjaciel Lopez.

— Czy będę się mógł z nim widzieć?

Za kilka minut.

Pan de Compans uśmiechnął się życzliwie do Franka i pozostawił narzeczonych samych.

Sam zaś udał się za poszukiwaniem towarzysza swojego przyszłego zięcia.

Lopez miał ważne powody towarzyszać Frankowi na tę zabawę. Zaledwie powóz przywożący ich, zatrzymał się przed jasno oświetloną willą bankiera, opuścił on przyjaciela i szybkim krokiem skierował się do małego domku, znajdującego się na samym końcu parku, zamieszkałego oddawna przez Paskala.

— Czy prędko zobaczę pana? — zapytał Frank, rozchodząc się z Lopezem.

— Za kilka minut.

— Rola, którą gram tu dzisiaj, ciąży mi niewymownie — wyrzekł Frank zmęczonym głosem — i chciałbym jak najprędzej zrzucić ją z siebie.

— Bądź cierpliwym, Franku. Tej nocy wszystko zakończyć się musi — odpowiedział Lopez, ściskając ze wzruszeniem jego rękę.

— A więc na pewno zobaczę pana? — nalegał jeszcze Frank niespokojnie.

— Jeżeli po upływie godziny nie zobaczysz mnie w salonach, postaraj się uwolnić w taki sposób, aby nikt nie zauważył twojego wyjścia i przyjdź do mnie. Wiesz gdzie masz mnie szukać.

W kilka minut Lopez stanął przed domkiem, w którym mieszkał Paskal.

Domek ten niegdyś musiał mieć lepszy i wytworniejszy wygląd i służył mieszkańcom willi Bierre, jako miejsce wypoczynku i ucieczki przed letnimi upałami. Ukryty był bowiem cały w cieniu wielkich drzew, otaczających go dookoła.

Tam mieszkał Paskal od owej tragicznej nocy, podczas której zbrodnia spełnioną została.

Przed chwilą jeszcze odwiedził domek służącego bankier de Compans, z którym miał dosyć długą rozmowę. Bankier wytłumaczył Paskalowi, że nareszcie będą uwolnieni na zawsze od wszelkich niepokojów i pod wpływem tej dobrej wiadomości służący pozwolił sobie na obfitszy, niż zazwyczaj obiad, w którym dużą rolę grało stare, mocne wino, do tego stopnia, że kiedy wstał od stołu, nogi dosyć niepewnie chwiały się pod nim, a umysł jego był mocno przyćmiony.

Miał jeszcze jednak na tyle przytomności, że rozpalił w jednym z pokoi dolnych dobry ogień na kominku, poczem usiadł wygodnie w obszernym fotelu i paląc fajkę, oddał się błogim rozmyślaniom. Paskal teraz był zupełnie szczęśliwy. Wszystkie niepokojące myśli, dręczące go od lat tylu, rozwiały się daleko pod wpływem tego zapewnienia, jakie mu dał pan de Compans i teraz mógł już bez troski marzyć o przyszłości, przedstawiającej mu się w różowych kolorach. O tem, że przed niedawnym czasem zamordował własnego brata, ojca Andrzeja, nie myślał wcale.

Odpoczywając tak w fotelu i grzejąc nogi przy sutym ogniu kominka, Paskal nie był wcale podobny do dawnego ponurego i zawsze podejrzliwego człowieka. Duża twarz jego rozjaśniła się, bruzdy, przecinające czoło zmniejszyły, a w oczach błyszczał blask tryumfu i zadowolenia.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Ucieczka z niewoli rosyjskiej.

Pobyt jeńców austryackich w niewoli rosyjskiej nie należał, zwłaszcza w początkach obecnej wojny, by najmniej do przyjemności. Moskale, pewni jeszcze wówczas zwycięstwa i mający nadzieję bardzo łatwego dostania się nawet do Wiednia i Berlina, obchodzili się z wziętymi do niewoli oficerami i żołnierzami niezbyt względnie, nic też dziwnego, że wielu z nich, trawionych tęsknotą za rodzinnym krajem, nie zważając na trudności, jakie mają przed sobą, próbowało ucieczki z pod czujnego oka carskich siepaczy.

Jednym z nich był kapitan austryackiej artyleryi, Gwido Bretter, internowany jako jeniec wojenny



Ucieczka z niewoli rosyjskiej: Kapitan G. Bretter.

w Astrachanie. Już w roku 1916 udało mu się ujść z miejsca tymczasowego zamieszkania. Kroki swe skierował przez Turcyę i Persyę, niestety usiłowania się nie powiodły. Nie zrażony niepowodzeniem, przy następnej próbie obrał kierunek wprost przeciwny, bo drogą na Finlandyę. Tutaj znowu aresztowany, przewieziony został do Petersburga, gdzie, jako politycznie podejrzanego, trzymano go przez czterdzieści dni pod strażą. Ale i tu niepowodzenie nie ostudziło bynajmniej chęci powrotu do ojczyzny. Tym razem zamiar się powiódł. Przez Finlandyę i Szwecyę dostał się kapitan Bretter do Niemiec, a stąd do Austryi. Było to szóste z rzędu przedsięwzięcie, tym razem uwieńczone pomyślnym wynikiem.



Rozstrzygające walki na Zachodzie: Grupa Szkotów wziętych do niewoli pod Bapaume (Fot. Bufa)



Rozstrzygające walki na Zachodzie: Zdobyta przez Niemców droga w odcinku Bapaume-Arras. (Fot. Bufa)



Rozstrzygające walki na Zachodzie: Jeńcy angielscy wzięci do niewoli po przełamaniu frontu na zachód od St. Quentin. (Fot. Bufa)

Kronika tygodniowa.

Zaczęliśmy więc kwiecień samemi niespodziankami, nic też dziwnego, jeśli z niemi przez cały miesiąc będziemy mieć do czynienia.

Już meteorolog-poeta powiedział swego czasu, że „kwiecień plecień, bo przeplata trochę zimy, trochę lata“, a jak gdyby na potwierdzenie tego, mieliśmy już ciepło i zimno, deszcz, grzmoty a nawet pioruny, z których jeden strzaskał na Zwierzyńcu słup telegraficzny, prawdopodobnie aby dać wyraz swemu oburzeniu, że teraz telegrafy, choć posługują się elektrycznością, funkcyonują tak ospale, że im poprostu wstyd przynoszą! Śniegu natomiast dotąd nie zanotowano, ale nie jest bynajmniej wykluczonem, że możemy go mieć jeszcze w drugiej połowie kwietnia, aby i zima nie była pokrzywdzona w swych słusznych prawach i aby stało się w myśl wyżej przytoczonych słów meteorologa poety.

I to będzie znów kwietniowa niespodzianka dla tych, którzy ciepłe płaszcze i futra, o ile je jeszcze mają, pochowali na lato, lub umieścili w lombardzie. Ten drugi sposób przechowywania zimowej garderoby przez czas letni jest bardzo praktyczny, napotyka przecież na pewne trudności. Kraków, choć ma pretensyę do nazwy wielkiego miasta, ma właściwie tylko dwa publiczne humanitarne zakłady tego rodzaju, choć zdałoby się ich więcej. Niechaj byłoby ich tyle. ile jest dziś kinoteatrów, bo tych znowu jest stanowczo zadużo. Dwa, ale porządne, wystarczyłyby zupełnie. Ostatecznie, możnaby od biedy dodać jeszcze trzeci, z programem wybitnie kryminalno senzacyjnym, aby i przyszłe pokolenia różnych rzezimieszków, kieszonkowców i włamywaczy nie było pozbawione „nauki poglądowej“, na którą obecnie taki nacisk się ogólnie kładzie.

Są wprawdzie w Krakowie, jak zresztą i w każdem innem mieście, lombardy pokątne. nie koncesyonowane ale są to z zasady jaskinie rozboju, lichwy i wyzysku, tem dotkliwszego, iż uprawianego na najuboższej klasie.

Ale to do niespodzianek nie należy.

Niespodzianką natomiast, niezbyt wprawdzie miłą, był zupełny brak chleba i mąki. Podwoje składów mąki i piekarnie zamknięto na dwa spusty, a głodnym i ciekawym, kiedy się mogą spodziewać, odpowiada się stereotypowo:

— Aż mąka nadejdzie!

— Kiedyż to może mniej więcej nastąpić?

— W maju!...

Ponieważ zaś wiadomo ogólnie, co u nas oznacza wyrażenie „w maju“, nikt nie wie, czy kpią z niego, czy też traktują go na servo, jako prawowitego posiadacza urzędowo wystawionej karty mączno-chlebowej.

I ja i cały mój fraucymer przez dwa tygodnie, jakie nas dzielą od świąt Wielkanocnych, uganialiśmy za mąką i chlebem po całym Krakowie, niestety, każdym razem wracało się z kwitkiem i ową majową obietnicą. A cóż nam z mąki w maju, jeżeli nam się chce jeść w kwietniu, a „maciek“ mruczy coraz głośniej i energiczniej, upominając się o swe prawa.

Uczono nas swojego czasu o miłej zgodzie i harmonii członków ciała ludzkiego, zostających pod kierownictwem żołądka, będącego pewnego rodzaju piecem, ogrzewającym cały ten skomplikowany cielesny mechanizm. I jakże on ma funkcyonować normalnie, jeżeli ów piec nie otrzymuje odpowiedniej ilości paliwa, a jeśli je już dostanie, to w stanie takim, że... pożal się Boże!... Jedna ze znajomych pań, która w miejskim sklepie nabyła pewne *quantum* mąki, gdy z niej chleb upiekła, przyniosła kronikarzowi kawałek na dowód, że nie miał racyi, rozpisując się w swoim czasie o jego „kanarkowym“ wyglądzie. Był on bo wiem pięknie majowo zielony.

By sobie ze mnie zażartować, powiada:

— No! A cóż teraz z owem pańskiem „żółtem niebezpieczeństwem?...“ Ten chleb jest przecież zielony!

— Tak!... To widzę — ja jej na to — ale mimo to twierdzę, że żółte niebezpieczeństwo nie jest w danym wypadku wykluczone, zwłaszcza, jeżeli pani łaskawa ma zamiar zjeść ten chleb... To jest, o ile się nie mylę, mąka z bobu, a on nie działa zbyt dobrze na organa trawienia!...

To była dla niej prawdziwa niespodzianka. Widziałem, że słowami memi zabiłem jej klina, jeśli nie w głowę, którą miała zaprzątniętą już innymi kłopotami, to przynajmniej w żołądek. najniewinniejszą ze wszystkich części ciała, a przecież, skutkiem wojny, cierpiącą z nich najbardziej.

„Cierp ciało, kiedy ci się chciało“. Tak mawiali nasi ojcowie i może wtedy mieli racyę, ale cóż dziś winien żołądek, bez którego organizm jest jako lampa bez knota i oleju... On pracuje ciężko, ale nie dla swej przyjemności, lecz *pro publico bono*, dla reszty organizmu i dlatego za łagodnie na to, by go wziąć w opiekę i nie pozwolić mu tak cierpieć.

Wychodząc z tej zasady i będąc zawsze, nawet i w przedwojennych czasach, troskliwym opiekunem „żywiciela“ mego kronikarskiego organizmu, wytrałem się na poszukiwanie jakiejś miarodajnej osobistości, która, na razie bodaj słowemi, mogłaby rozprószyć owe czarne chmury, jakie gromadzą się na naszym horyzoncie aprowizacyjnym.

Miałem widoczuie szczęście, spotkałem bowiem pewnego dostojnika, zajmującego się właśnie aprowizacyą, co mu naweт dobrze robi, jeśli się tylko spoglądnie na jego okrągłą, prawdziwie przedwojenną peryfasyę i anielsko uśmiechnięte oblicze.

Gdym go zagadnął i wytłuszczył, o co mi się właściwie rozchodzi, opowiedział mi długo i szeroko o tem, co to magistrat dla dobra ludności już chciał zrobić, a co jeszcze zechce, na moją zaś uwagę, że wolelibyśmy widzieć raczej, co zrobiono, a nie co chciano, odparł:

— Wam to łatwo mówić i krytykować. Wystarczy na razie, że się coś chce zrobić, reszta przyjdzie potem sama ze siebie.

— Ale chyba radca dobrodziej przyzna, że jest źle... — ja mu na to.

— No, dobrze nie jest, ale aby miało być już tak źle, tego nie powiem! Ja tam na braki nie narzekam (w tem miejscu poklepał się z uczuciem po swym okrągłym żywocie..) przestaję na małem, a jeśli mi czego brakuje. powiadam sobie, że tak być musi! Nie tak, jak wy! Niech tylko przez tydzień braknie mąki, już wszyscy ludzie na magistrat, tak jakby on mąkę robił Trzeba było powiedzieć przed dziesięciu laty, że będzie wojna, a sam byłbym na pełnej Radzie postawił wniosek, aby ustanowić u nas posadę biblijnego Józefa któryby nam budował spichlerze i gromadził zapasy na czarną godzinę.. Dziś już późno. Dziś trzeba być z tego zadowolonym, co nam dadzą.

— Jakże możemy być zadowoleni, skoro nic nie dają?

— Hm!... Widocznie sami nie mają!... Ale ja panu powiem coś w sekrecie, bo mam do pana zaufanie i wiem, że mnie pan nie zdradzi... Czeka nas niespodzianka!

— Czy być może?... Jaka?... Może koniec wojny?

— Tego nie wiem, gdyż, jak pan wie, w wielką politykę się nie bawię i nigdy nie bawiłem, mając dość kłopotów z prywatnymi swymi interesami, a resztę wolnego czasu poświęcając sprawom miasta. To panu jednak powiem, że w najbliższym już czasie będą zniesione karty na chleb i mąkę, a każdy będzie sobie mógł zakupić tego artykułu ile mu się tylko zechce i spodoba.

— A gdzie?

— Gdzieżby!... W składach mąki i piekarniach!

— A po cenach?

— Naturalnie maksymalnych, wyznaczonych przez władzę.

— A skąd, proszę kochanego radcy dobrodzieja, będą owę mąkę pobierać owe składy i piekarnie?

— Skądżeby?.. Z odpowiedniej centrali!

— Bardzo ładnie!.. A cóż będzie, jeżeli owa centrala nie da nic?... Któż się wówczas o to upomni? Magistrat jest władzą, z którą nawet centrala musi się liczyć do pewnego stopnia. a jak trudno w drodze urzędowej coś stamtąd wykołatać.. Cóż to będzie dopiero, gdy wejdą w grę prywatni odbiorcy...

— W każdym razie będzie magistrat miał spokój, nie będziecie bowiem mogli narzekać, że to jego wina, iż mąki brak

— To prawda!...

— Pozatem rozwinie się wolny handel i konkurencya, która musi wpłynąć na obniżenie cen!

— W to już nie wierzę!... Dotychczasowy pokątny handel zamieni się może pod pewnym względem na wolny, ale ludność nic na tem nie zyska! Będzie można kupować wszędzie, ale nie będzie tego, co można kupić... Co najwyżej znów kilka mądrych jednostek. które umieją chodzić koło interesu i potrafią sobie zdobyć względy u panów z centrali, zrobi miliony, a reszta zejdzie do roli parobków, skazanych na to, by pracowali nad tem, aby im te miliony rosły. Nie trzeba było z początku prowadzić rekwizycyi i tworzyć centrali, ale zaraz wówczas pozwolić na wolny handel, jednakowoż z ograniczeniem wywozu, by w ten sposób utrudnić spekulantom ogałacanie kraju z najnie zbędniejszych produktów, a zbiór dobry z pewnością inaczej, niż jest... Teraz już zapóźno na zezwolenie na wolny handel tem, czego niema!... Z próżnego i Salomon nie naleje!

— Ja tam, mój kochany panie, tak się na tę sprawę pesymistycznie nie zapatruję. jak pan, choćby tylko z tej racyi, że magistrat pozbędzie się jednego kłopotu. Wydawać kartki na chleb lub mąkę, to głupstwo, grunt, aby była ta mąka, a z niej chleb... Otąd o to nas głowa boleć nie potrzebuje...

— Pod tym względem przyznaję kochanemu radcy dobrodziejowi najzupełniejszą racyę. Jestem najmocniej przekonany, że wszyscy magistraccy dostojnicy, od największego do najmniejszego, nie mieliby nic przeciw temu, gdyby wogóle uwolniono ich od wszelakich kłopotów, połączonych z ich urzędowaniem by brali nadal pensye, a do biura przychodzili by się napić herbatki, wypalić cygarko, przeczytać gazetkę, porozmawiać, a potem.. gdzie oczy i węch poniosą!

— Zresztą, by pana uspokoić, dodam, że jest faktem urzędowo stwierdzonym, że mąka z Ukrainy nadejdzie w maju i to w ilości sześnastu milionów pudów, po cenach bardzo przystępnych, bo pięć i sześć rubli za pud, zależnie od jakości. Będzie więc z czego piec chleb, na który już nie będzie trzeba kartek.. Choć z pana taki pesymista, jeszcze się pan przekona i przyzna mi racyę!

— Dałby to pan Bóg, ale ja już jestem taki niewierny Tomasz, że dopóty nie uwierzę w ową mąkę, choćby ją nie jedna, ale pięć nawet ekscellencyi obiecywało, dopóki jej nie zobaczę na własne oczy, a potem nie skosztuję... Tyle razy była już figa z najsolenniejszych obietnic, że nic chyba dziwnego. jeżeli się dziś każdą przyjmuje z pewną rezerwą, jeśli nie niedowierzaniem!

Czyli, innemi mówiąc słowy, „baba z wozu, koniom lżej“. Magistrat pozbędzie się kłopotu, a ludności zostawi się wolną rękę. Niechaj każdy sam się stara o to. aby mu nie brakło tego, czego potrzebuje.

To tylko bieda, gdzie się starać i u kogo? Ostatecznie i dziś za drogie pieniądze otrzyma się mąki i chleba ile się zapragnie, jeśli więc po zniesieniu kartek ma być nadal tak samo, w takim razie nie widzę w tem żadnego dobrodziejstwa dla ludności, ani poprawy dotychczasowych, opłakanych stosunków. Będzie to, co najwyżej, z jednej strony odciążenie „przepracowanego“ magistratu, z drugiej zaś oddanie całego ogółu na łaskę i niełaskę żywnościowych spekulantów, którzy odtąd publicznie będą wykonywać swe praktyki.

Czy lepiej jest z cukrem, kawą, herbatą, naftą i t. d.?...

I tak więc źle i tak nie dobrze. Choćby nawet ta niespodzianka zamieniła się w fakt dokonany. zbytnio nas nie raduje. Tego przynajmniej zdania jest kronikarz. Są może ludzie, którzy myślą inaczej, ale to im wolno.

Ta kwestya mączno-chlebowa bardziej mi wlazła w głowę, niż niejednemu z naszych domorosłych strategików owa kolubryna, którą Niemcy z oddalenia stu dwudziestu kilometrów ostrzeliwują Paryż. To była prawdziwa niespodzianka dla wszystkich, zajmujących się prowadzeniem wojny. Przy tej sposobności pokazało się, że u nas co drugi człowiek to urodzony artylerzysta, a przynajmniej co trzeci mógłby zupełnie łatwo funkcyonować jako rzeczoznawca w tym kierunku. Na ten temat toczono zaciekłe dyskusye, w których wentylowano zasady balistyki i orzeczono ostatecznie, że to jeszcze nie koniec, gdyż wkrótce pojawi się działo, którego pociski nieść będą z pod Berlina. via Paryż lub Londyn do Nowego Yorku albo Waszyngtonu. Wówczas zmięknie rura Wilsonowi i odejdzie go ochota do dalszego prowadzenia wojny Rozchodzi się tylko o jeden bardzo mały drobiazg. Trzeba aby ktoś skonstruował coś podobnego. Ale taki chyba się znajdzie, o ile, broń Boże, wojna się tymczasem nie skończy. Na dobrych cłębiach i dziś nikomu nie zbywa, tak, jak i dawniej, gdy żył ów starożytny filozof, który zobowiązał się poruszyć z posad ziemię. byle tylko dano mu miejsce, gdzieby mógł stanąć i odpowiednio się oprzeć. Jeśli tego nie dokonał, to tylko dlatego, iż odpowiedniego miejsca nie znalazł. W danym zaś wypadku z brakiem miejsca liczyć się zupełnie nie potrzeba i to ułatwi wynalazcy bardzo zadanie. Kronikarz zaczął sobie także nad tem łamać głowę. ale wnet przyszedł do przekonania, że to nie jego fach. Dał więc armacie spokój, ale gotów jest każdej chwili poprzeć wynalazcę gdyby się przypadkowo znalazł, w zrealizowaniu projektu, ale tylko meralnie, gdyż z materyalną kwestyą w tym miesiącu jest u niego bardzo krucho, co nie jest i nie było bynajmniej niespodzianką.

Ostatecznie zniesienie kart chlebowych może wpłynąć tylko dodatnio na kwestyę papierową, która z dnia na dzień staje się coraz poważniejszą. Wydawnictwa dzienników i pism peryadycznych odczuwają ją zwłaszcza bardzo boleśnie nie tyle na swej skórze. ile na kieszeni.

Wybory do Rady Stanu Królestwa Polskiego.

W dniu 9. b. m. odbyły się w Królestwie Polskiem wybory do Rady Stanu. Poprzedziła je akcya przygotowawcza dwu komitetów wyborczych: Koła międzypartyjnego i Związku budowy państwa polskiego. Wybory zatem odbyły się pod wyraźnemi hasłami politycznemi dwu tych ugrupowań. Zebranie sejmików powiatowych, zgrupowanych w czternastu okręgach, miały do wyboru szereg kandydatów, należących do Koła międzypartyjnego, bądź do Związku budowy państwa polskiego, bądź bezpartyjnych. Wyniki wyborów stwierdziły, że do Rady stanu większością głosów wybrano przedstawicieli Koła międzypartyjnego wysuniętych przez centralny komitet wyborczy. W niektórych okręgach wybory miały przebieg ożywiony, do czego w znacznym stopniu przyczyniła się agitacya przedwyborcza obu komitetów.

Wyniki wyborów do Rady Stanu przedstawiają się jak następuje:

Okręg I, warszawski: Antoni Marylski Łuszczewski, obywatel ziemski; Zygmunt Chrzanowski, obywatel ziemski; Jan Grabowicz, ziemianin.

Okręg II., siedlecki: Stefan Badzyński, obywatel ziemski; Stanisław Chaniewski, obywatel ziemski; Władysław Skup, nauczyciel.

Okręg III, łomżyński: Zygmunt Chrzanowski, obywatel ziemski; Józef Jabłoński, obywatel ziemski; Leon Gościcki.

Okręg IV., ciechanowski: Damian Gniazdowski, obywatel ziemski; Krzywkowski, włościanin; Tadeusz Swięcicki, pr. dyr. T. K. Z.

Okręg V., włocławski: Henryk Radziszewski, profesor; Adam Strzelecki, włościanin; Henryk Ciechomski, obywatel ziemski.

Okręg VI., łódzki: Władysław Jabłonowski, literat; Bolesław Malcz; Janusz Szwejcer, obywatel ziemski.

Okręg VII., kaliski: Ludomir Połaski, obywatel ziemski; Jasiński, ks.; Alfons Parczewski, profesor.

Okręg VIII, częstochowski: Stanisław Skarbiński, dyrektor; Władysław hr. Potocki, obywatel; dr. Marczewski, burmistrz.

Warszawa — miasto: Czesław Brzeziński, adw. przys.; Stanisław Lubicki, dyr. Tow. kred.; Michał Łempicki, inżynier; Feliks Ochinowski, adw. przys.; Aleksander Rosset, inżynier; A. Weisblatt, ławnik magistratu; Noech Prilucki, radny.

Łódź — miasto: Eugeniusz Kraguski, inżynier; dr. J. Rosenblatt; Oskar Kindler; Józef Wolczyński, robotnik.

Okręg I, lubelski: Jan Kosior, włościanin; Feliks Lechnicki, obywatel ziemsk.; August Popławski, obywatel ziemski.

Okręg II, zamojski: Kazimierz Fudakowski, obywatel ziemski; Malinowski, ks.; Jabłoński, włościanin.

Okręg III, radomski: dr Józef Swierzyński, obywatel ziemski; Zygmunt Leszczyński, obywatel ziemski; Walenty Augustyniak, włościanin.

Okręg IV., kielecki: Gabryel Łaniewski, obywatel ziemski; Włodzimierz Karski, obywatel ziemski; Władysław hr. Zamoyski, obywatel ziemski.

Okręg V., miechowski: Antoni Minkiewicz, inżynier; August hr. Potocki, obywatel ziemski; T. Tomala, włościanin.

Okręg VI., piotrkowski: Leon Siemieński, obywatel ziemski; Witold Marczewski, obywatel ziemski; Stanisław Skarbiński, dyrektor.

Lublin — miasto: Wybory nie odbyły się wskutek rozwiązania rady miejskiej.

Wybrano zatem 51 członków, z których 40 jako przedstawicieli sejmików i 11 jako przedstawicieli rad miejskich: warszawskiej i łódzkiej.

Należy tu zaznaczyć, że lewica w wyborach udziału nie wzięła. Stanowisko poszczególnych grup wobec wyborów do Rady Stanu zaznaczyło się w deklaracyach, złożonych przed przystąpieniem do wyborów, na posiedzeniu warszawskiej rady miejskiej.

Imieniem Koła Narodowego wiceprezes, dr. Zawadzki, odczytał następującą deklaracyę:

„Koło Narodowe radnych m. stoł. Warszawy, uważając za konieczne przystąpienie do budowy urządzeń państwowych i zastrzegając się, iż budowa ostateczna należy do atrybucyi Sejmu ustawodawczego, stwierdza, iż Rada Stanu jest instytucyą tymczasową, mającą na celu jedynie opracowanie ustawy wyborczej dla Sejmu ustawodawczego i zwołanie jak najrychlejsze tego Sejmu w Warszawie.

Wychodząc z tych zasad Koło Narodowe radnych wyraża pewność, iż Rada Stanu nie rozstrzygnie żadnych spraw, dotyczących formy rządu, granic państwa lub traktatów międzynarodowych, pozostawiając sprawy te sejmowi ustawodawczemu, ograniczy się zaś wyłącznie do takich spraw bieżących, które wymagają natychmiastowego, ale tymczasowego rozstrzygnięcia pod warunkiem, iż uchwały Rady Stanu nabiorą cech stałości po zatwierdzeniu przez Sejm ustawodawczy.

Współdziałając z rządem w organizowaniu ciała państwowego i kulturalnego, Rada Stanu winna domagać się pełnej odpowiedzialności rządu przed sobą i Sejmem, oraz przestrzegać, aby podwaliny życia państwowego i samorządowego były oparte na szczerych zasadach demokratycznych i równości wszystkich wobec praw i obowiązków.

Pod temi hasłami Koło Narodowe radnych przystępuje do wyboru członków Rady Stanu i w tych granicach daje swym delegatom pełnomocnictwa do udziału w jej pracach".

Następnie przedstawiciele innych ugrupowań, jak Koła pracy, narodowego Związku robotniczego, złożyli motywowane deklaracye z powodu wstrzymania się od głosowania. Mianowicie radni: Lustański i Szyc, w imieniu Koła pracy, złożyli deklaracyę następującą:

„Ponieważ wybory obecne do Rady Stanu nie przedstawiają żadnej gwarancyi, ażeby jej skład mógł odpowiadać dążeniom i potrzebom szerokich mas ludowych, tem bardziej, że większość Rady Stanu będzie z nominacyi, na co żadnego wpływu mieć nie możemy, nie chcąc zaś ponosić odpowiedzialności przed narodem za czynności niezgodne z potrzebami ojczyzny, my, przedstawiciele rzesz rzemieślniczych i pracowniczych, powołani w kuryi VI przez szeroki ogół ludu pracującego, oświadczamy, że w wyborach do Rady Stanu z kuryi powszechnej udziału nie weźmiemy".

Wystąpienie narod.-demokratów z Koła Polskiego.

C. k. Biuro korespondencyjne donosi z Wiednia:

Ogłoszono pismo dra Głąbińskiego z dnia 16. marca, nadesłane z Wiednia 22. marca, które zawiadamia o wystąpieniu posłów narodowo demokratycznych (Dębski, Dobija, Gall, Głąbiński, Ptaś, Skarbek i Zamorski) z Koła Polskiego. W piśmie tem jest ten krok umotywowany tak, że dalsze pozostawanie narodowych-demokratów w Kole Polskiem nie da się pogodzić z obowiązkiem narodowej solidarności i z utrzymaniem tego narodowego programu, który Koło Polskie i pełne zebranie polskich posłów sejmowych i parlamentarnych uchwaliło w maju zeszłego roku jednomyślnie.

Narodowi-demokraci, powiada to pismo, pozostali w Kole Polskiem mimo wrogiej dla nich polityki rządu podczas wyborów do parlamentu w r. 1911, a także mimo ataków, które zwracali przeciw nim wybitni członkowie Koła Polskiego i N. K. N. przed wojną i podczas wojny. Do kroku tego zmusiła ich dopiero zasadnicza zmiana programu, w dniu 7 go marca b. r., gdy na posłuchaniu u cesarza deputacya Koła Polskiego oświadczyła, że opozycya Koła zwraca się tylko przeciw odpowiedzialnemu rządowi, chociaż opozycya ta wynikła z ogólnej sytuacyi i zwracała się przeciw całemu systemowi państwowemu, przeciw postawie, jaką państwo austryackie i cała monarchia zajęły wobec naszego narodu. — Zasadnicza zmiana polityki Koła Polskiego ujawniła się także w tem, że Koło nie poszło za radą słowiańskich stronnictw opozycyjnych, która szła w tym kierunku, żeby odroczyć głosowanie nad prowizorium budżetowem i kredytami wojennymi i przez to zyskać czas celem skoordynowania naszego stanowiska ze stanowiskiem innych stronnictw słowiańskich i osiągnięcia konkretnych zobowiązań i gwarancyi w naszych narodowych sprawach.

Ponieważ narodowi demokraci nie mogli sprowadzić Koła na linię wytyczoną przez uchwały majowe i lutowe, więc — powiada pismo — „mając do wyboru między obowiązkiem utrzymania łączności i solidarności z całym narodem polskim a solidarnością Koła, nie możemy się wahać i wybieramy łączność z narodem, gdyż wśród krzyżujących się zamachów i intryg naszych wrogów, którzy czychają na życie i duszę naszego narodu, tylko w żywotnej sile narodu i ścisłej łączności z narodem może polityka polska szukać oparcia i linii przewodniej. Pójdziemy więc sami z niezachwianą wiarą, że dziś bardziej niż kiedykolwiek wola i głos narodu są dla Polski głosem opatrzności".

W piśmie, wystosowanem do urzędującego wiceprezesa Kędziora dnia 26. marca, zawiadamia poseł Śliwiński, że występuje z Koła Polskiego.

Korpus Muśnickiego pod komendą niemiecką.

„Dziennik rozporządzeń wojskowych" Nr. 94 z dnia 5. kwietnia b. r. („Militär verordnungs Blatt für das Generalgouvernement Warschau") podaje wiadomość następującą:

„Pozostający pod komendą generała porucznika Dowbor Muśnickiego I. korpus polski wszedł pod zwierzchnią komendę wodza naczelnego polskiej siły zbrojnej, generała pułkownika von Besselera.

„Korpus otrzymał pozwolenie na udzielanie co miesiąc stu zaliczonym do tej formacyi urlopu do generał gubernatorstwa i obszaru, podległego władzy wodza naczelnego na wschodzie. Należy oddawać honory wojskowe oficerom, którzy noszą na lewem ramieniu jeden lub więcej galonów srebrnych albo złotych".

W związku z tą sprawą donosi „Kuryer Warszawski:

Wczoraj odbyło się posiedzenie Rady Regencyjnej wspólnie z członkami nowego gabinetu ministrów. Rozważano sprawy, będące w związku z wyjazdem p. ministra Steckiego i księcia Radziwiłła do Brześcia Litewskiego dla porozumienia się z generałem Dowbor-Muśnickim.

Od Administracyi.

Zawiadamiamy naszych P. T. Prenumeratorów i Komisantów, iż numerów „Nowości Illustrowanych" 51 z roku 1917 i nru 1 i 2 z roku 1918 nie posiadamy. W miarę otrzymywanych zwrotów, będziemy powyższych numerów dostarczali.

Właściciele i wydawcy: Kawalerzy Kolumba z Nowego Jorku. Odpow. redaktor: M. Lipiński. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madeiskiego.